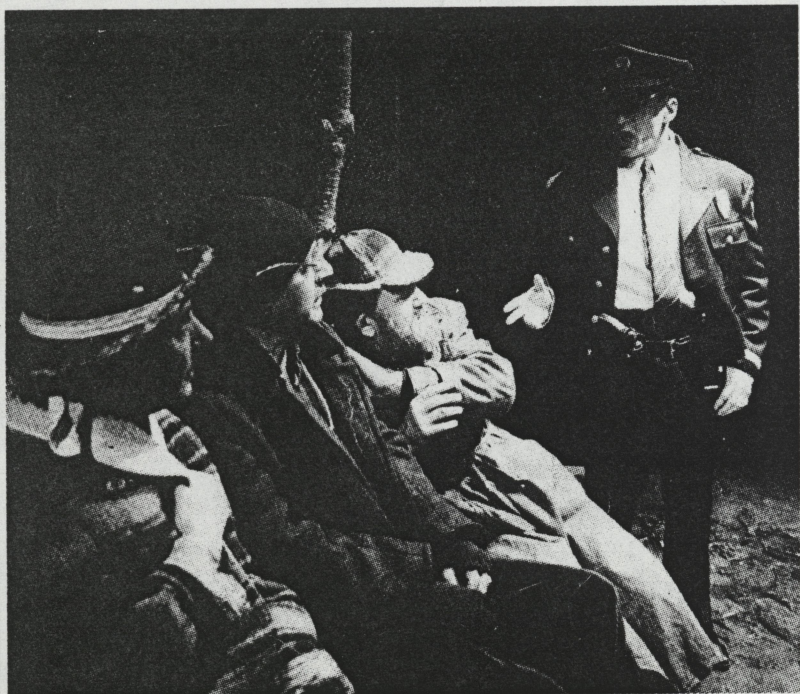




Zdjęcie: Stanisław Szewczyk

Ich czworo z Tompkins Square Park: Anita (Krystyna Horodyńska), Sasza (Tomasz Karasiński), Pchelka (Tadeusz Trygubowicz) i Policjant (Marian Glinka).

Coś nieprawdopodobnego, proszę państwa, dzieje się z tym naszym teatrem nad Prosną. Podczas gdy my wszyscy - ciągle jeszcze z zadyszką - staramy się dogonić Europę, nasz teatr śmiało sięga sobie za Atlantyk, wybiera z tej okrzykanej Ameryki to, co tam najlepsze i na dodatek nie ma żadnych kompleksów. Ledwie Janusz Głowacki pomiędzy jednym a drugim spacerem po nowojorskim Tompkins Square Park napisał swą najnowszą wersję „Antygony”, ledwie profesor Jan Kott zdążył okrzyknąć ją arcydziełem, a już teatr kaliski miał sztukę w próbach. Niewiele brakowało, a mielibyśmy w Kaliszu światową prapremierę. Niestety, trochę wcześniej ubiegły się o ten zaszczyt warszawski teatr „Ateneum” oraz waszyngtoński Arena Stage Theater. Co oczywista w niczym nie umniejsza wysokich notowań kaliskiej sceny.

Tompkins Square - park bez wyjścia

Najnowsza sztuka Głowackiego ma jedną podstawową wadę - fatalny tytuł, który zupełnie niepotrzebnie wywołuje skojarzenia z starożytną mitologią, klasycznym dramatem, bohaterami antycznymi, ich posagowymi postawami i sztywnym systemem wartości. Nie, na szczęście nic takiego w sztuce nie ma. Jest to tylko trochę rodzajowy, trochę groteskowy obrazek z życia bezdomnych, kocujących w jednym z nowojorskich parków. Trójka głównych bohaterów uosabia trzy bardzo różne ludzkie losy, pełne bolesnych

doświadczeń; trzy różne postawy wobec życia, choć sprowadzające się ostatecznie do tego samego upadku. Ale ze zderzenia tych postaw nie wynika żaden dramat, jeśli już cokolwiek wynika, to najczęściej zaskakujący komizm - po prostu kupa śmiechu! Tak naprawdę żaden z tych ludzi, z tych ludzkich odpadów cywilizacji, które trafiły na ów nowojorski śmietnik zwany Tompkins Square Park, nie potrafi już kierować swoim losem. Stąd nie ma odwrotu, nie ma wyjścia... Park staje się pułapką, ale także domem - jedy-

nym miejscem, gdzie odrzucone przez zdrowe społeczeństwo czują się „u siebie”, w rodzinie. Nie, Sofokles na pewno nie jest kluczem do tego dramatu. Może już prędzej Beckett? Zbyt nachalna wydaje się jednak ta najczytelniejsza, socjologiczno-publicystyczna wymowa sztuki - los ludzi bezdomnych - by szukać w niej jakiejś nader głębokiej filozofii.

Amerykanie, spotykający na co dzień na swych ulicach bezdomnych włóczęgów, oswoili się już z tym zjawiskiem. Toteż za oceanem pisanie o bezdomnych w kategoriach okrutnego komizmu może być doświadczeniem ciekawym, a dla widzów może nawet swoistym katharsis. W Polsce - przynajmniej na prowincji - gdzie dopiero przerabiamy krótki lecz intensywny kurs bezrobocia, problem bezdomności raczej przeżywamy jako groźną wizję przyszłości. Dlatego też skłonni bylibyśmy zamknąć go w kategoriach bardziej apokaliptycznych niż groteskowych. Aby kpić ze zjawisk okrutnych, trzeba się najpierw z nimi oswoić. Czy Głowacki o tym nie wie, czy to świadomie chce dać nam lekcję na przyszłość?

Wiedzą o tym na szczęście twórcy kaliskiego przedstawienia, którzy nie epatują widzów nadmiarem brudu, smutku i nieszczęścia. Mała scena, na której prezentowany jest spektakl, jest prawie pusta. Jej tłem jest typowe ogrodzenie z siatki, pośrodku stoi ławka parkowa, rachityczne sztuczne drzewko i metalowa beczka do wypalania śmieci. Trochę za mało jak na scenografię teatralną. Wystarczy, by ogrzać kabaretowy skecz. Podobnie kostiumy - ubrania z różnych szaf, zmieję, zużyte, noszone jak popadnie, bez ładu i składu - ale przecież to tylko kostiumy. W tak osobliwej scenarii i strojach kaliscy aktorzy nie grają spektaklu o tragedii ludzi bezdomnych lecz... No właśnie o czym?

Oto bohaterowie. Pchelka - polski emigrant, żalosny alkoholik i epileptyk, ale zarazem typowy cwaniaczek i kombinator. Zbiór wszelkich możliwych słabości i ciemnych stron natury, dość typowych dla naszej nacji. Człowiek małego formatu, lecz wielkiego mniemania o sobie. Mitoman

stwarzający na użytek bardziej swój niż innych wizerunek sympatycznego wesółka, przymilnego błazna, nieszkodliwego żartownisia. Wizerunek tak sugestywny, że wręcz rozbijający. Owe dwa skrajne wcielenia oraz rozliczne ich odmiany i fazy - zmagają się nieustannie w psychice Pchelki. Stąd jest to postać rozwibrowana, zmienna, nieuchwytna... Tadeusz Trygubowicz odnajduje się w niej bezbłędnie - potrafi być jednocześnie uroczy i odrażający, szlachetny i podły, wzniosły i kabotyński. Potrafi łączyć wykluczające się przeciwieństwa i zamknąć w pozornie mało znaczącej postaci znerwicowanego pijacka-gadulę cały katalog naszych narodowych wad. Jest to na pewno najlepsza (jeśli w ogóle nie życiowa?) rola Trygubowicza, który wykorzystuje w niej nie tylko swój talent i umiejętności aktorskie, ale także cały arsenał swych indywidualnych cech charakteru, nawyków, zwyczajów. Pchelka to zarazem jedna z najbardziej karykaturalnych i obrzydliwych postaci Polaków w naszej literaturze. I aż dziw bierze, że dotąd żadna z naszych narodowo nawiedzonych partii nie opluła Głowackiego od stóp do głów za to, że publicznie szkaluje - i to przed obcymi - przedstawicieli naszej wspaniałej nacji. Toż nawet wielkiemu Dostojewskiemu nie mogliśmy wybaczyć, że w swych powieściach obdarzał Polaków na ogół niezbyt pochlebnymi cechami. Ale widać Głowackiemu wolno (i bardzo dobrze!) - może dlatego, że mieszka w Nowym Jorku?

Scenicznym partnerem Pchelki jest Sasza, rosyjski Żyd, artysta malarz, intelektualista - ponury, milczący, zamknięty w sobie; tajemniczy. Jerzy Karasiński w kaliskim spektaklu gra od początku do końca rolę człowieka - Sfinksa, który nigdy nie odsłania wszystkich swych zakamarków duszy; nad którym ciąży jakieś złe fatum. Nawet w chwili, gdy odzywa się w nim iskra uczucia do kobiety, gdy planuje rozpocząć nowe życie - sam sobie nie wierzy. Karasiński gra niezwykle skromnymi środkami aktorskimi, budując swą rolę z dużym wyczuciem - świadomie w opozycji do bogatego aktorstwa Trygubowicza.

Między tymi dwoma tak różnymi postaciami toczy się to, co jest - jak mi się wydaje - w kaliskim spektaklu najważniejsze i najwyższe. Dialog pomiędzy Polakiem i Żydem, Polakiem i Rosjaninem, prymitywem i intelektualistą, cynikiem i człowiekiem z zasadami... Dialog, który w istocie sprowadza się do tego, że Sasza słucha z dziwnym upodobaniem obłądnych opowieści Pchelki; i choć swoje myśli, ulega ich urokowi i destrukcyjnej sile. Dialog, którego słucha się momentami ze ściśniętym sercem.

Policjant, który pojawia się jako łącznik pomiędzy poszczególnymi scenami, to postać z zupełnie innego świata. Marian Glinka (ostro zarysowana szczeka, ponure spojrzenie spod czaszki, bary kulturysty) jest ideałem amerykańskiego stróża porządku, takich oglądamy zazwyczaj w filmach kryminalnych made in USA. Na premierze może trochę zbyt nerwowo wygłaszał swe kwestie, ale w chwilach terroryzowania publiczności był doskonały. W spektaklu kaliskim pełni on rolę ślepej siły niszczącej, która przerywa dialog (a może i egzystencję) dwóch ludzi, którzy próbowali się zrozumieć.

Nie przekonała mnie natomiast zupełnie Krystyna Horodyńska, która sprowadziła postać Anity (w zamiarze autora chyba tragiczną) do swojskiego modelu rozjazgotanej przekupki. Rozumiem reżysera, który mógł się lękać nadmiernego sentymentalizmu tej bohaterki, ale zastąpienie wszelkich ludzkich uczuć „odrchami psa Pawłowa” to co najmniej przesada. Anita tak naprawdę nie ma nic do przekazywania w tym przedstawieniu jedynie mozolnie popycha akcję do przodu. Może jest w tym i spora część winy autora, któremu na pewno bliższe są tajemniki duszy Polaka, Żyda czy Rosjanina, niż Portorykanki.

Na pewno sztukę Głowackiego można czytać i inscenizować na różne sposoby - niezależnie od miejsca i czasu. Dla mnie na dziś nie jest to wcale rzecz o bezdomnych, lecz o tym, co ludzi dzieli - o fobiach, antagonizmach, nacjonalizmach, nienawiści, rasizmie... Być może Ameryka ma te problemy już za sobą, u nas w tej części Europy zdaje się, że dopiero się one zaczynają.

Bożena SZAL

Teatr im. W. Bogusławskiego w Kaliszu: „ANTYGONA W NOWYM JORKU” Janusza Głowackiego. Reżyseria - Józef Skwark, scenografia - Jan Banucha. Premiera: 27 marca 1993 roku.